

## Misztal Ewa

### Semper Fidelis

Z „*Science Fiction*” nr 10 – listopad 2001

Gdy w latach osiemdziesiątych odkryto Bramę Niebios, nikt się tym, w gruncie rzeczy, nie zainteresował. Mini-czarna dziura w środku Układu Słonecznego? Hipotetyczna czarna dziura? A kogo to obchodzi, jedyny problem z nią związany, jaki mogli zobaczyć naukowcy, to, spłaszczając zagadnienie, czy zeżre Układ Słoneczny, czy nie. Nie zeżarła dotąd, to i nie zeżre.

Mikroskopijna czarna dziura wewnątrz Ziemi też jakoś nikogo nie podnieciła. Ot, następna hipoteza, której nie sposób właściwie do końca udowodnić.

Nam, przyzwyczajonym do swych cielesności, czarna dziura wewnątrz Ziemi nie może do niczego posłużyć, nie tak, jak mieszkańcom Królestwa, przywykłym do pokazywania się w różnych przebraniach, okrywających ich energetyczne istności. Więcej mamy problemów, przeprawiając się przez strumień, niż moi przyjaciele Stamtąd, przekraczając próg Bramy Wewnętrznej i przedostając się na przełaj przez, z ludzkiego punktu widzenia, absolutnie nieprzepuszczalne bryły skał i gorące rzeki lawy.

Wydajemy się gatunkiem całkowicie od nich osobnym, ale tak nie jest. Nie ma wielu gatunków, jest jeden, tyle że osobnicy różnią się od siebie w zależności od stopnia rozwoju.

Małeńka, pływająca, podobna do rybki istotka, nie przypomina w niczym żaby, prawda? Ani obrzydliwa gąsienica nie daje patrzącemu nadziei, by kiedykolwiek miała mieć skrzydła. Tak i my, nieszczęsne, ledwie urodzone potworki, wciąż uzależnione od naszych pieluch i butelki, w niczym nie przypominamy dorosłych osobników wspólnego dla nas i Tamtych gatunku. Starzejemy się, nie dorastając, nie wychodząc z pokoju dzieciennego, strasząc się nawzajem opowieściami o pustce i samotności za drzwiami, a historie o spotkanych Dorosłych witamy gwizdami i wybuchami śmiechu.

Tak było też i ze mną.

Rozpoznałem Dorosłego chyba tylko dlatego, że byłem półżywy ze zmęczenia. Od dwudziestu godzin operowałem rannych, poparzonych domowej produkcji napalmem, postrzelonych, pochlastanych nożami, znoszonych wciąż z dziwnego pola bitwy, które jeszcze niedawno było częścią wielojęzycznej metropolii. Broni ciężkiej nie używano, ale ręczne granaty i broń maszynowa na krótkim dystansie wśród budynków niosą śmierć z przerażającą łatwością. Wojna? Ależ skąd, utarczka na tle rasowym, o której będzie najwyżej niewielka notatka w prasie zagranicznej. A ja ślaniałem się ze zmęczenia, bojąc się wyjść ze szpitala, dotąd uszanowanego przez wszystkie, trzy lub cztery, strony konfliktu. Policja i wojsko otoczyły kordonem płonąca dzielnicę, lecz nie wchodziły. Postępek słuszny, bowiem musiałyby wymordować wszystkich biorących udział w tej nietypowej wojnie. Nienawiść walczących grup obróciłyby się przeciwko nim. A tak była nadzieja, że konflikt sam zdechnie i chociaż część walczących przeżyje.

Z helikopterów, unoszących się wysoko ponad budynkami, dochodził jak grom głos burmistrza, wzywającego do opamiętania się i złożenia broni. Nagranie powtarzało się raz po raz, z radia dochodziło to samo, ale nie zsynchronizowane, wezwania do ugody zlewały się za oknem w jedno z końcowymi groźbami użycia wojska i ciężkiego sprzętu, które kończyły apel. Podobno prezydent miał przybyć lada chwila, ale, będąc tylko człowiekiem, jak miał zakończyć to szaleństwo?

A ja ugrzązłem.

Mój dom, położony trzydzieści kilometrów stąd, zapewne był cały. Tam nie działo się nic. Samochód, którym przyjechałem, ciągle stał na podziemnym parkingu szpitala, lecz był zupełnie bezużyteczny. Nie mogłem się wydostać z tej enklawy o promieniu około dziesięciu kilometrów; odległość, którą truchtem pokonuję wczesnym rankiem, była od wczoraj subiektywnie równa promieniowi Wszechświata.

Ze zmęczenia miałem wrażenie, że zapadam się w sobie jak teleskopowa antena, a wciąż pojawiający się w moim polu widzenia ranni stali się mniej widoczni z za kolorowej mgiełki, którą brałem za efekt zmęczenia wzroku.

Kolega Jonas Zwiger właśnie postanowił mnie wymienić. Przespał parę godzin twardym snem na jeszcze twardszym łóżku w jednym z gabinetów, a ja, najpierw z ulgą, a potem z czymś, co dopiero po chwili rozpoznałem jako zdenerwowanie i niechęć, poszedłem zająć jego dotychczasowe legowisko. Czyżbym się bał, że Jonas nie będzie wystarczająco dobry, przejmując moją robotę? Śmieszne. Ciągle byłem pełen niechęci do zejścia z posterunku, choć doskonale zdawałem sobie sprawę z ogromu własnego zmęczenia.

Dla dobra tych ludzi szukających ratunku powinienem odpocząć, niepotrzebny jest im mylący się lekarz, powtarzałem sobie, wędrując zapchanym łózkami korytarzem. Ludzie leżeli, niektórzy spali, niektórzy jęczeli, a wszyscy pokryci byli tęczowym lśnieniem mgiełki. Przekonany, że to tylko powidok, prznosiłem wzrok z leżących na łózkach sylwetek w mglistych kokonach na ściany i z powrotem, jednak te powidoki nie chciały wędrować zgodnie z ruchem gałek ocznych, jakby były czymś rzeczywistym. Ale przecież tak być nie mogło.

Nie wierzyłem, by opowieści o widzeniu aury były czymś innym niż próbami hochsztaplerów wyłudzenia zainteresowania lub pieniędzy.

W pokoju, w którym się wreszcie schroniłem, oprócz kozetki była też mikroskopijna kuchenka, lodówka i elektryczny czajnik. Udało mi się znaleźć swój zapas *yerba mate*, dzięki Bogu, nikt tego nie pił oprócz mnie, więc ocalał, resztki mleka w lodówce akurat mi wystarczyły; popijając gorący słodki wywar przez słomkę, usiadłem na kanapce i dopiero wtedy go zauważyłem. Facet siedział na krześle, odchyłony nieco do tyłu, ze zwieszoną na pierś głową, jakby spał. Nie był z pewnością zatrudniony w szpitalu, pracowałem tu ponad pięć lat i znałem wszystkich. Poza tym krzesło stało pod ścianą, doskonale widoczne, i przysiągłbym, że cały czas było puste. Halucynacje z powodu braku snu i zmęczenia? Powinienem podejść do niego, potrząsnąć go za ramię i obudzić, spanie w milczącym towarzystwie obcego wydawało mi się jakby głupie, nie na miejscu. Trochę przerażające. Podejście do niego też, chociaż byłem u siebie, a tamten, ewidentnie, nie. Gdy tak się zastanawiałem, mężczyzna podniósł głowę i uśmiechnął się. Wcale nie był przerażający: śniady, ubrany w dżinsy i białą koszulę, zbyt stary na studenta, lecz młody, mógł być stażystą, którego mi nie przedstawiono. Albo jednym z tych szaleńców z bronią, powodujących piekło za murami.

Nie jestem tchórzem. Byłem w wojsku dwa lata, padam na ziemię, gdy strzelają, a potem szukam broni i czołgam się w stronę zagrożenia. Nie znaczy to, że nie jestem ostrożny. Jednak w towarzystwie tamtego faceta czułem się nieswojo. Atmosfera zagrożenia? Nie, raczej egzaminu. Ale czemu? Bo promieniował autorytetem? Czyżbym na pół spał i stroił rzeczywistość we własne rojenia?

Najlepszy sposób na wyświetlenie sytuacji znalazł się sam, gdy wpojone obyczaje wzięły górę. Wstałem i ruszyłem w jego stronę z wyciągniętą ręką, mówiąc:

- Chyba się nie znamy, jestem Stanley Lemmer, doktor Lemmer.

- Wiem - odparł nieznajomy i podniósł się z krzesła, powoli, pomalutku. Miałem wrażenie, że obcy prostuje się całymi godzinami, rosnąc do absurdalnie wielkich rozmiarów starej topoli lub wieżowca, ale nie wytrzymałem, mrugnąłem i nieznajomy okazał się mniej więcej mojego wzrostu. Dłoń była nieco szorstka i przyjemnie ciepła.

- Nazywam się Michael Mikkelson, czekam na pana od dziesięciu godzin.

Zdziwiłem się.

- Przybyłem tu z propozycją pracy dla pana, ale był pan niezwykle zajęty. I tak nie udałooby mi się odjechać, więc po prostu czekałem dalej.

- A jakim cudem pan się tu dostał? - spytałem. - Dziesięć godzin temu już było tu piekło.

- Sam nie wiem, najpierw utknąłem na skrzyżowaniu pod hotelem „Rosa Maria”, a potem już nie byłem w stanie uciec z pola bitwy, więc pchałem się w stronę szpitala, zabierając rannych każdej ze stron konfliktu, Chyba miałem więcej szczęścia niż rozumu.

- A teraz nie wydostanie się pan stąd, dopóki nie skończą się zabijać - podtrzymałem temat.

- No cóż, przynajmniej dopóki nie zapytam pana, czy chce pan pracować dla naszej organizacji - odparł.

- Czy muszę teraz wysłuchać tej propozycji?

- Ależ skąd, doktorze, ależ skąd - uśmiechnął się Mikkelson i rozłożył ręce. - Doskonale wiem, co pan przeszedł przez ostatnie dwa dni. Poczekam z propozycją, aż się pan wyśpi. Czyli do zakończenia konfliktu, plus jeszcze ze dwa dni. Nie ma pośpiechu. Przed nami cała wieczność.

Chciałem się położyć, ale jakoś przy nim nie mogłem. Najwyraźniej to wyczuł, bo wstał i powiedział:

- No, a ja się przespałem, na medycynie się znam, to może spróbuję odciążyć jakąś pielęgniarkę.

Mruknąłem w odpowiedzi coś pełnego wdzięczności, nakryłem się kocem i zasnąłem. Gdy po czterech godzinach się obudziłem, było już po wojnie. Nadal napływali ranni, ale nie produkowano już nowych. Widziałem z daleka Mikkelsona, uwijał się między poustawianymi na podłodze holu noszami, pomachał, a ja mu odmachnąłem, szybkim truchtem podążając do sali operacyjnej. Gdy skończyliśmy łątać poszarpaną nogę piętnastolatka i zaszyliśmy mu dziurę w barku, większość rannych odjechała już karetkami do innych szpitali, u nas zostali tylko ci, których ze względu na ich stan nie można było przenosić.

Oznaczało to wysoki wskaźnik umieralności, który, po tych wszystkich wysiłkach, mógł być powodem depresji dla całego zespołu. Racjonalnie nie było ku temu powodu, ale mogliśmy mieć przed oczami jedynie tych, których uratować było niezwykle trudno, ci, którzy mieli wyzdrowieć, zdrowieli nie na naszych oczach. Znałem ten problem, już się z nim zetknąłem. Starałem się opowiedzieć o tym tyłu członkom personelu, ilu było można, by przygotować ich na ten, najgorszy dla lekarza, okres.

Mikkelson dorwał mnie, gdy wreszcie, zastąpiony przez chirurga sprowadzonego ze szpitala Pearl Jacobson, szykowałem się pomaleńku do powrotu do domu. Jego koszula nie była już biała, nie była też czerwona, plamki krwi zrobiły się prawie czarne. Głupio mi było po prostu się go pozbyć, pielęgniarki mówiły mi, że to lekarz dużej klasy, choć o trochę nietypowych nawykach. Pewnie robił dyplom daleko stąd, w Afryce, może w Azji. Ale znakomity. Zaprosiłem go więc do siebie na noc, a on radośnie się zgodził.

Normalnie byłbym znacznie bardziej wylewny, takie piekło sprzyja brataniu się ludzi pracujących dla tego samego celu, ale było w nim coś takiego, co powodowało u mnie niechęć. A ta niechęć z kolei, gdy bliżej jej się przyjrzałem, była całkowicie nieuzasadniona. Facet nie miał w sobie nic, co mogłoby do niego nieprzychylnie usposobić.

Zastanawiałem się nad tym, gdy jechałem do domu z samochodem Mikkelsona widocznym w tylnym lusterku. Co było w nim takiego, czego nie lubiłem? Chyba wyłącznie fakt, że powodował u mnie jakieś złudzenia wzrokowe, a przecież tym halucynacjom, zrodzonym z bezsenności i przepracowania, on był winien najmniej. Co to wtedy widziałem, gdy wyszedłem z bloku operacyjnego? Poświatę w kształcie skrzydeł? Trzy świetliste sylwetki z Mikkelsonem w centrum? Sam już nie wiedziałem. Gdy wpuściłem go do domu, nagle sobie przypomniałem, że dla obcego mój dom może wyglądać dziwacznie. Wszędzie było pełno roślin, w doniczkach i suszących się na ścianach. Takie hobby.

Mikkelson jednak, czy z nadmiaru taktu, nie zadawał żadnych pytań. Rozejrzał się z uznaniem po pokoju gościnnym, pohłasował chwilę w łazience i zobaczyłem go dopiero późnym rankiem, gdy ogolony i wykąpany, przeciągając się i ziewając, wszedłem do kuchni.

Pogwizdując, kroił chleb na grzanki, maszynka do kawy parowała, boczek na patelni syczał, a mój gość uwijał się jak wysokiej klasy gosposia. Jego obycie w kuchni źle mi się skojarzyło, przestraszyłem się, że zaraz uszczypnie mnie w tyłek, teraz naprawdę ciężko zgadnąć pleć, ale zaraz się uspokoiłem, ostatecznie pedzio nie znaczy „gwałticiel”, a ja zachowuję się jak stara panna, której jeszcze nie zaczepiono, a już krzyczy o ratunek. Zbiła mnie z tropu ta sytuacja, dotąd po kuchni w ten sposób uwijały się u mnie jedynie kobiety.

Mikkelson obejrzał się na mnie, przez chwilę zonglował dużym kuchennym nożem i łopatką, którą dopiero co szturchał boczek, a na widok mojej osłupiałej miny roześmiał się i złapał jedną ręką najpierw nóż, potem łopatkę, na końcu widelec, którego wcale do tej pory nie widziałem i który, z mojego punktu widzenia, spadł z sufitu. Czułem się jak dziecko w cyrku.

Mikkelson ofiarował mi bukiet przyborów kuchennych z taką miną, jakby obdarowywał mnie mirrą, kadzidłem i złotem, i w końcu ja też zacząłem się śmiać.

- Czy gospodarz raczy mi pomóc? - spytał.

Gospodarz, przypominawszy sobie o obowiązkach, poustawiał na stole talerze, sztuce i resztę. W lodówce wciąż był nienaruszony galon soku pomarańczowego, znalazłem też mleko, a potem płatki kukurydziane. Na pewien czas zająłem się śniadaniem, a gdy większość z tego, co było na stole, znalazła się wewnątrz nas, Mikkelson spojrzał pytająco i popukał się w usta.

- Rozumiem, rozumiem - roześmiałem się - niech pan mówi, zaczynam być ciekawy.

- To propozycja dla lekarzy, którzy nie chcą mieć wygodnie - zastrzegł Mikkelson. - To propozycja dla byłych komandosów, którzy czują wstręt do zabijania, dla ludzi bezdietnych, nie obciążonych obowiązkami rodzinnymi, słowem...

...Dla mnie - przerwałem mu.

- To, co panu powiem, musi pozostać między nami. Jeśli nie zgodzi się pan do nas przyłączyć, musi pan zapomnieć o wszystkim, o czym będziemy tu rozmawiać. Reprezentuję organizację rządową, a praca, o której mówię, jest objęta najwyższym stopniem tajności.

- A dlaczego zwraca się pan do mnie?

- Bo jest pan lekarzem, byłym komandosem, a na dodatek ma pan medal za odwagę. I nie znosi pan zabijania. I jest pan nie tylko chirurgiem, ale też skończył pan farmację. To wszystko się panu przyda. A

praca, którą będzie pan wykonywał, zabierze pana bardzo daleko, tak daleko, że nie będzie mógł się pan komunikować z nikim ze znajomych. W zamian obiecuję panu coś, co mogą przeżyć tylko nieliczni.

- Co się stało? Wybuch cholery w jakimś kraju azjatyckim, w którym na dodatek toczy się wojna?

- Prawie pan zgadł. Ale musi się pan zgodzić w ciemno. Całą prawdę powiem panu dopiero, gdy zgodzi się pan ze mną pojechać.

- Chyba się nie zgodzę. Widzi pan, czuję awersję do mieszania się rządów jednych krajów do innych.

Gdyby reprezentował pan organizację międzynarodową, pozarządową, pewnie byłoby mi łatwiej.

- Pański stosunek do tej sprawy nie tylko przynosi panu chlubę w moich oczach, ale też powoduje, że jest pan dla mnie jeszcze cenniejszym nabytkiem. Rząd, który mnie przysłał, jest właśnie rządem tego kraju, który dotknęła klęska. Nie szukamy pomocy przeciwko ludziom, lecz chorobie. Współpraca rządu pańskiego kraju jest dla nas bardzo cenna, ale potrzebujemy tylko informacji o ludziach takich jak pan, a nie wojska czy broni.

- Czemu więc nie będzie mi się wolno komunikować z rodziną?

- Bo mamy do czynienia z chorobą, której istnienie chcemy zachować w tajemnicy, dopóki się da. Ciągłe jest nadzieja na zlikwidowanie ogniska choroby zanim się rozprzestrzeni. Przy okazji próbujemy opracować szczepionkę. Na dodatek to pole bitwy jest oddalone od tak zwanej cywilizacji.

Nie podobało mi się to. Po pierwsze, mówił bez śladu obcego akcentu i nie wyglądał na przybysza z dalekich krajów. Po drugie, nie słyszałem nic o jakichś nowych chorobach, a przecież lekarze plotkują tak samo jak inni ludzie. Sztucznie stworzony zarazek wymknął się spod kontroli? Z drugiej strony moja ciekawość nie pozwoliłaby mi wycofać się ze sprawy, zanim się nie dowiem. W końcu podjąłem decyzję.

- Czy pozwoli mi pan sprawdzić pańskie, powiedzmy, referencje? - spytałem.

- Niech pan zadzwoni do Ministerstwa Obrony Narodowej, do generała Cagnere'a. On panu powie, czy mnie zna.

Zignorowałem podawaną mi wizytówkę, znalazłem telefon Ministerstwa w książce telefonicznej, a sekretariat połączył mnie z Wydziałem Kontroli, cokolwiek to miało znaczyć. Generał od razu wiedział, kto do niego dzwoni i po co. Nie powiedział mi nic konkretnego, ale z naciskiem powtarzał o całkowitym zaufaniu do Mikkelsona, z tym że nie byłem pewien czy mówi o własnym zaufaniu, czy o zaufaniu, którym powinienem Mikkelsona obdarzyć. Odłożyłem słuchawkę z przekonaniem, że typowy obraz wojskowego z dowcipów już nie przystaje do rzeczywistości. Przerażony nieco tym nowym wojskiem jajogłowych, pękając z ciekawości i nieco obrażony na Mikkelsona, że pakuje mnie w taką randkę w ciemno, wreszcie się zgodziłem, zastanawiając się, kiedy zacznę żałować tej decyzji.

Mimo to Mikkelson nie powiedział mi nic więcej, podkreślił tylko, że dopóki nie zobaczę, i tak mu nie uwierzę. Za jego namową zadzwoniłem do szpitala, dyrektor już był powiadomiony przez, jak to nazwał, autorytety, i podpisał mi urlop na czas nieograniczony. Dodał jeszcze coś o zatrudnieniu mnie z powrotem, kiedykolwiek będę chciał i nagle poczułem się, jakbym właśnie skoczył z mostu na bungy bez upewnienia się, czy lina jest właściwie umocowana do bariery.

Mikkelson mnie nie poganiał, ale pakowałem się, jakbym uciekał przed pożarem. Spakowany, zarzuciłem marynarski worek na plecy i zszedłem. Mikkelson był już gotów. Zadzwoniłem jeszcze do Franka, mojego najlepszego przyjaciela, z prośbą, by zajął czasem i podlał kwiaty. Powiedziałem, że znalazłem okazję na kilka miesięcy w Ameryce Południowej, tyle że muszę się pospieszyć, bo wskoczyłem na miejsce innego lekarza. Wiedział doskonale o moim zielarskim hobby i nawet nie opieprzył mnie zbyt za taki wyjazd bez uprzedzenia. Myślałem, że jedziemy na lotnisko, lecz Mikkelson skręcił na autostradę prowadzącą w góry. Minęliśmy kilka turystycznych miejscowości, potem zjechaliśmy w drogę drugiej kategorii, a po następnej godzinie ostrych zakrętów w ledwie widoczny trakt i wjechaliśmy do opuszczonego kamieniołomu. Mikkelson zatrzymał się w odległości metra od skalnej ściany, nacisnął zapalniczkę i zanim zdążyłem go zapytać o papierosy, skalna ściana przesunęła się, ukazując hangar wystarczająco duży na kilkanaście jumbo jetów. Wjechaliśmy do środka i zaraz obstąpili nas ludzie w kombinezonach. Mikkelson wysiadł pierwszy, zauważyłem, jak poklepują go po plecach, ktoś otworzył moje drzwi i radośnie zapałał:

- Doktorze przyjechał, jak rany, wiedziałem, że ciekawość cię tu sprowadzi, kopę lat, doktoru, co?

Wielka łapa Małpisona objęła moją, rzeczywiście od lat go nie widziałem, starego kumpla z wojska, ale byłem przekonany, że nie wrócił z interwencji w Angoli. Czyżby zwerbowano go wcześniej? Ale do czego? Wyglądało na to, że zaraz się dowiem. Małpison ciągnął mnie w stronę wysokich, smukłych kształtów, wyglądających jak samoloty pionowego startu. Eleganckie i zgrabne, świetliście białe, stały na ogonach jak nowoczesne kolumny.

- Co to jest? - wskazałem palcem na samolot.

Nasze niewidoczne transportery - odpowiedział z dumą Małpison i już nie chciał mi powiedzieć niczego więcej, roześmiał się tylko.

Spojrzałem na niego surowo. Jego przystojna twarz gwiazdora filmowego, przez którą dorobił się ksywy, promieniała dumą. Zadzierał nosa, tego nie był w stanie podrobić. Uznałem że muszę wypytać Mikkelsona.

Mikkelson, jakby to przewidział, właśnie do nas podszedł.

- Zanim zaczniesz pan pytać, zabiorę pana na kwaterę - zaproponował.

Niebotycznie zaciekawiony, ale też pełen sceptycyzmu, powędrowałem za nim do wózka golfowego, wsiałem, i dopiero teraz, jadąc pomiędzy kolumnami tych „transporterów”, zacząłem w przybliżeniu oceniać rozmiary ukrytego lotniska. Wyglądało na to, że wypatroszyli cały łańcuch górski. Gładkie z daleka powierzchnie samolotów z bliska sprawiały wrażenie włochatej tkaniny; gdy wyciągnąłem rękę w stronę wznoszącej się nad nami białej płaszczyzny trójkątnego skrzydła, Mikkelson się roześmiał. Po chwili wiedziałem już czemu. Nie udało mi się jej dotknąć!

Dłoń zatrzymała się jakieś dwa centymetry od białego puchu, delikatne piórka tuż pod moimi palcami zdrzały, czułem miękkie, sprężyste opór pustego, jak się zdawało, powietrza, piórka podnosiły się ku moim palcom, a ja ich nie mogłem dotknąć i nadal nie widziałem przeszkody.

- Co to jest?

- Garuda - odparł Mikkelson, ubawiony moją miną, sam czułem, że jest szczególnie głupia.

- Jakaś nowa technika? Pole siłowe?

- Zapewne tak to można nazwać. Czy zamierzasz zapytać, skąd się bierze?

- Nie. Nie jestem fizykiem.

- Anty grawitacja.

- Anty grawitacja to tylko słowo, a jak podasz mi wzór fizyczny, to i tak go nie zrozumieję, więc cię nie pytam.

- To efekt przewagi energii nad grawitacją. Po pierwsze, nabijał się ze mnie, a po drugie, przeszliśmy na ty.

Przejechaliśmy wreszcie przez połąć lotniska i dotarliśmy do korytarzy. Mikkelson wybrał jeden z nich, przejechaliśmy jeszcze z pięćset metrów i zgrabnie zaparkował w niszy, służącej do tego celu. Pokazał mi pokój, schludnie i w miarę wygodnie urządzone, z łazienką i małą garderobą na bagaż. W porównaniu z kwaterami, jakie miałem w armii, był to Hilton. Zmył się, zanim zdążyłem wymyślić pierwsze pytanie.

Nie chciało mi się spać, a nie dostałem wyraźnego polecenia pozostania w kwaterze. Ciekawość przeważała. Korytarze, choć drugie, były dobrze oznakowane, wszędzie wisiły mapki i nikt mnie nie próbował zatrzymać. Chodziłem więc, dziwowałem się rakietom, zaglądałem wszędzie, najwyraźniej nikt tu niczego przed nami nie pilnował. Na dobrą sprawę mógłbym się urwać, ale nie chciałem. Ku swemu zdumieniu przekonałem się, że prawie połowa z żołnierzy to kobiety.

Przysiadłem się do jednej takiej, gdy jadłem obiad w kantynie, miała na imię Sara i była świetnie wyszkolonym komandosem. I miała dosyć strzelania do ludzi, choć rozumiała politykę własnego kraju. Powiedziała mi coś, co mnie zastanowiło. Coś o kobiecie imieniem „Bezbożność”, zabranej w ołowianej skrzyni przez kobiety ze skrzydłami bocianów i postawionej na cokole.

- Zamknięto ją w efie - mówiła, wpatrując się we mnie ciężkim wzrokiem. - To skrzynia służąca do mierzenia zboża i innych sypkich rzeczy. Postawiono ją na cokole. To chyba znaczy, że miara była już pełna?

Było mi głupio, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Boję się świrów, a szczególnie świrów cytujących święte pisma. Zauważyła to i zmieniła temat. Dużo też gadałem z Jackiem Małpisonem, który mnie odnalazł i przysiadł się do nas, ale ten bezczelny typ nic mi nie wyjaśnił, tylko się ze mnie nabijał. Gadał coś o podróżach w poprzek czasu, krainach elfów, duplikatach, i nie był w stanie utrzymać pokerowej twarzy. Miałem ochotę go udusić. Sara mu sekundowała, a ja nie wiem czy lubię, jak świry się ze mnie śmieją. Czułem się tak swobodnie jak mała pod wodą. Nie dali mi najmniejszego punktu zaczepienia. W końcu zrezygnowałem. Skoro nie miałem wystarczających danych, by roztrząsać problem, pozwoliłem mu, by roztrząsał się sam, bez mojej pomocy.

Wieczorem, gdy już aż nazbyt syty wrażeń kładłem się spać, zastukał do mnie Michael w towarzystwie jakiegoś blondyna, którego jeszcze nie widziałem.

- Masz ochotę na nagły wyjazd, połączony ze szkoleniem? Michael miał niezwykle zadowoloną z siebie minę. Najwyraźniej znów żonglował jakimiś łopatkami.

- Dokąd? - zdziwiłem się. Ostatecznie dopiero co przełożyłem nogi przez próg.

- Takie sobie szkolonko. Na razie jedynie jako obserwator - odpowiedział z uśmiechem, który miał być anielski, a był uśmiechem kota z Cheshire. Wisiał w mojej pamięci jeszcze długo potem, jak jego właściciel się zmył, przekazawszy mnie w ręce blondyna.

Blondyn zaprowadził mnie do pomieszczenia przypominającego małe kino, ale takie z filmów SF. Może raczej do kokpitu „Enterprise”. Pełno dużych ekranów, stanowiska komputerów, wygodne fotele, kolorowe światełka, te rzeczy.

Blondyn bez pytania podał mi papierowy kubek z kawą. Przyjąłem go i usiadłem na wskazanym siedzisku. Podsunął sobie nogą drugie, rozsiadł się i zrobił z palców małą gotycką wieżyczkę, którą pukał się w podbródek, robiąc mi wykład.

- Są sytuacje - zagań - gdy niewinni ludzie padają ofiarą zorganizowanych akcji prowadzonych przez rządy lub duże organizacje przestępcze, mające powiązania z władzą. Policja nie może im pomóc, ich własny rząd nie chce lub nie może im pomóc, powiązania polityczne uniemożliwiają działania oficjalnych organów. I wtedy wkraczamy my. Jest nas za mało, by brać udział w każdej koniecznej akcji, są więc nam potrzebni sojusznicy. Tacy jak ty. Ciągłe szukamy następnych.

Postanowiłem nie psuć mu humoru i postarałem się zabrzmieć w miarę możliwości zgodliwie:

- Potrzebne wam psy wojny ze skrzydłami.

- Coś w tym rodzaju. Nie zapominaj, że aniołowie noszą miecze.

Roześmiałem się.

- Wojownik i lekarz? To raczej archetyp z Dalekiego Wschodu.

- I poeta, nie zapominaj o trzecim ważnym wątku.

- I mag, koniecznie mag, potrzebujecie więc archetypów.

- Wystarczy mi, że znalazłem dobry materiał na archetypy. Jak popracujemy, znajdziemy rzeźbę w marmurze.

- To Michał Anioł! Dobrze znasz zachodnią kulturę, chyba długo tu siedzisz.

Roześmiał się tak, jakbym opowiedział dowcip stulecia. Na moje pytające spojrzenie odpowiedział następnym wybuchem śmiechu. Znowu przez mgnienie oka miałem wrażenie, że spotkałem kogoś tak wielkiego jak te samoloty w hangarze.

- No, dobra, ale skąd te tony supernowoczesnego wyposażenia?

- Powiedzmy, że grupa ludzi weszła w posiadanie pozaziemskiego sprzętu...

- Jaka grupa? - chciałem wiedzieć.

- Pozarządowa - odpowiedział z mrugnięciem.

- I pozwalają wam tak sobie używać? Każdy rząd raczej obwieści, że jesteście terrorystami, niż pozwoli wam działać na własną rękę.

- No, cóż - wycedził, spoglądając w punkt nad moją głową - początkowo tak właśnie zamierzali z nami postąpić. Zlikwidować kłopot, póki mały. Potem zmądrzeli.

- Więc jednak podjęliście jakieś działania terrorystyczne... - zacząłem.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele - przerwał. - Nikt nie ucierpiał, chyba że urażona duma liczy się u ciebie za efekt działalności terrorystów.

- I? - pogoniłem go, bo zamilkł z uśmiechem, jakby kontemplował jakieś rozkosze.

- Cóż, okazało się, że wielu zrozumiało, na czym polega nasza działalność. Są teraz naszymi najlepszymi sojusznikami.

Znowu się roześmiał.

Chciałem wiedzieć więcej - skąd ten sprzęt, czy jesteśmy w kontakcie z inną rasą i tak dalej. Zamiast odpowiedzi słyszałem coraz to nowe wybuchy śmiechu.

- Na pewno jeszcze o tym pogadamy - powiedział w końcu, wycierając oczy.

- Nieźle cię ubawiłem, co?

- Kiedyś ci to wyjaśnię.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo tak mam lepszą zabawę.

Obraziłem się.

Pokręcił głową, ciągle jeszcze ubawiony.

- To nie tak, po prostu najpierw musisz tam polecieć, zobaczyć na własne oczy, a potem przyjdzie czas na dalsze tłumaczenia. Wtedy ubawisz się równie dobrze jak ja. I tak samo będziesz trzymał język za zębami.

- Gdzie polecieć? - naciskałem.

Do sali wszedł Michael z grupą żołnierzy i blondyn się zmył, nie odpowiedziawszy na moje pytanie.

Odrpawa była krótka, nic z niej nie rozumiałem. Miałem wrażenie, że oglądam końcówkę filmu. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, w rękach trzymali coś, co wydawało mi się notebookami najnowszej generacji, rozdzielili się na grupki, choć nikt im nie kazał. Pojawił się Małpison i po prostu mnie zabrał, a ja poszedłem za nim jak owieczka, całkowicie ogłupiały. Po drodze rzucił mi tłumok z wyposażeniem, powiedział, że zdążę się przebrać w czasie lotu, i zdążyłem. Potem, kiedy wspominałem tę podróż, raz wydawało mi się, że lecieliśmy bardzo długo, udało mi się trzykrotnie umrzeć z nudów, wypowiadać się Małpisonowi ze swoich dziwactw i uzyskać rozgrzeszenie, a w zamian wysłuchać historii jego ostatnich lat. To znowu wydawało mi się, że ledwo się przebrałem, usiadłem i zacząłem się rozglądać, już trzeba było wsiąść.

Trochę było tak, jakby wypluł nas balon, zawieszony centymetry nad ziemią. Spojrzałem w bok, tam drugi Garuda zwisał tuż nad gruntem, kiwnął się, jakby dygnął, i na lodzie pojawiły się, ni stąd, ni zowąd, ledwie widoczne w swych białych ubraniach sylwetki. Właśnie - pojawiły się znikąd, nie skakały, ani nie schodziły pojedynczo. Próbowałem się zastanowić, w jaki sposób sam wysiadłem, ale ten moment umknął mi z pamięci. Podobnie jak moment wejścia na pokład. Czy Garuda ma pokład? Wstałem z fotela (jeśli to był fotel) i już miałem pod nogami lodowiec. Garuda gdzieś znikł, i nasz, i tamten, nie wiadomo kiedy, choć rozglądałem się po niebie. Było jasne jak nad biegunem. Nie spodziewałem się, że pełnia księżyca może dawać aż tyle światła. Prawie jak reflektor. Cel naszego marszu był widoczny z daleka niczym oświetlona scena i wyglądał właśnie jak teatralna scenografia.

Wyobraźcie sobie zamarznęte na gładko jezioro z wysepkami wysokich skałek. Prawie się rozglądałem za Otylią, Odettą i resztą łabędzi, wpływających na środek na puentach. Nawet nie chrupało pod nogami. Płachta śniegu po wielokrotnych topnieniach i zamarzaniach była twarda jak marmur, zabrudzenia układały się w marmurowe żyłki. Podciągnąłem kołnierz panterki, Małpison - najwyraźniej podniecony sytuacją - ściągnął kaptur i odpiął wiatrołap pod szyją.

- Co ci tak gorąco? - zdziwiłem się.

Spojrzał na mnie ze złony i pokręcił dłonią: „uwaga, nasłuch!”. Wzruszyłem ramionami. Wiatr wył, oprócz nas i zrzuconych po drugiej stronie skałek naszych kumpi, niewidocznych w swoich białych okryciach, najwyraźniej nikogo tu nie było. A i do skałek nie mieliśmy tak blisko. No, dobra, pewnie chodziło mu o punkty karne - ale też nie brałem przecież udziału w dzisiejszej akcji, miałem być tylko noszącym apteczkę obserwatorem.

Lałem więc w milczeniu między rozrzuconymi kapryśnie skałkami za rozgrzanym ćwiczeniami Małpisonem, który znowu zaczął rozpinać kurtkę na kewlarowej kamizelce, trochę na niego obrażony, a trochę licząc na jakieś ciekawe wydarzenia, bo przecież nie wierzyłem, że przydam się tu zawodowo. Nikt nie planował wspinaczki, więc nawet złamania nogi w tym gładkim terenie się nie spodziewałem. W watowanych ubrankach nie było sposobu stłuc sobie kolana.

Potruchtaliśmy tak do środkowej części skałek, były niespodziewanie wysokie, a przejścia między nimi prawie tak regularne, jak nawy starego kościoła. Małpison rozglądał się dokoła z zaciekawieniem. Wreszcie spojrzał na mnie i wskazał ręką grube nacieki z lodu. Kiwnąłem, że je widzę; Prawie jak rzeźby, jakieś motywy liści, kwiatów, twarzy wychylających się spośród roślinności, wszystko jakby roztopione, bardziej się ich domyślałem, niż widziałem. Światło księżyca podmalowywało je jak staroświecki fotograf-retuszer.

Małpison rozglądał się wokół, wreszcie pokazał mi dłonią ślad na lodzie. Przypominał zamarznęty przerebel, ale przecież kto by tu miał przerebela? Łowca łososi? Sterczałem tak, gapiąc się w szklisty owal, Małpison przykląkł, chwycił coś, czego nie widziałem, i otworzył właz. Właz? Nadal wyglądało to jak kawałek lodu, nie widziałem żadnych zawiasów, ale, ewidentnie, nie był to przerebel. Zaczął schodzić po niewidocznych schodach, postąłem, póki jego głowa nie schowała się w otworze, i sam spróbowałem zejść. Mój umysł wrzasnął. Nie było żadnych schodów! Leciałem jak kamień w dół, dopóki nie złapał mnie mój kumpel.

- Spoko, doktorku - wyszeptał. - Twój materialny światopogląd mi tu bruździ, zamknij oczy i wymacaj drabinę, ale już, bo cię nie utrzymam.

Posłusznie zamknąłem oczy i zacząłem wodzić rękami jak ślepiec. Wreszcie trafiłem na delikatne rowki w lodowej ścianie. Były nadszodziejnie wygodne, mogłem się ich uczepić, a gdy Małpison wypuścił moje nogi z niedźwiedziego uchwytu, również zaprzeć się palcami stóp. Miałem wrażenie że, gdy tak się ich trzymam, grubiejają i chropowacieją. Dalsza droga w dół po pierwszym szoku to była łatwizna.

Znaleźliśmy się w korytarzu, wyciętym równo w brudnym lodzie, a może wylanym z betonu. Mętne światło z ukrytych gdzieś pod sufitem słabych żarówek było dziwnie mylące. Raz zdawało mi się, że idę między murami z ciosanego kamienia, to znowu widziałem po prostu zamrażającą ziemię. Korytarz kończył się, wprawdzie myślałem, że ślepo, ale okazało się, że dochodzi do poprzecznego, większego korytarza. Od lewej zbliżał się ktoś w bieli. Mały, krępy, uczesany w kucyk Azjata. Pamiętałem go z odprawy. Małpison poczekał, aż dojdzie do nas, i bez wahania skręcił w prawo. Kilka kroków dalej było następne skrzyżowanie. Z obu stron zbliżali się nasi.

- Żadnych strażników, jak dotąd - powiedział znajomy blondyn, dochodząc do nas od lewej.

- Nikogo nie było po drodze - uśmiechnął się wysoki Murzyn, idący z korytarza po prawej.

- To przecież tylko ćwiczenia - wtrącił swoje trzy grosze.

Popatrzyli na mnie, jakbym się nieziemsko wygłupił.

- Tak, ćwiczenia - bąknął blondyn. - My ćwiczenia traktujemy serio.

Zrozumiałem aluzję. Grzecznitko i w milczeniu poszedłem za szerokimi plecami Małpisona. Moje plecy osłaniał Azjata.

„Nasz” korytarz skończył się w okrągłym pomieszczeniu z grubą kolumną w środku. Z pozostałych trzech wyjść wysypały się grupki ubrane na biało. Między nimi był Michael. Podszedł do okrągłego wspornika i coś przy nim pomajstrował.

Kolumna nagle okazała się szybem windy. Gdy do niej wszedłem za Małpisonem i rzuciłem pożegnalne spojrzenie przez zasuwające się drzwi, ponad głowami pozostałej części oddziału zobaczyłem coś, co zaparło mi dech - znajomy widok holu Ratusza z windy chodzącej na poziom widokowy. Bywałem tam często. W kawiarence na górze dają naprawdę dobrą kawę. Część parteru i dwa pierwsze piętra zajmuje Sąd Okręgowy. W piwnicach, o czym rzadko się mówi, jest areszt i archiwum sądowe.

Winda ruszyła w dół i w pierwszej chwili pomyślałem, że zmierzamy do aresztu. Bywałem tam czasem zbadać aresztanta, zwykle symulującego chorobę, by uniemożliwić rozprawę, na którą go przywieziono. Nie pomyliłem się zbyt. Gdy wysiedliśmy, grupka, która zjechała wcześniej, właśnie coś kombinowała z zamkami krat, chroniących przejście do następnego pomieszczenia. Zamki ustąpiły z cichym trzaskiem i kraty zaiskrzyły.

Spodziewałem się jakiegoś skakania po ścianach, machania bronią i szybkich komend, ale weszliśmy do środka jak dzieciaki na wycieczce. Murzyn majstrował coś w skrzynce na ścianie i nagle drzwi do cel puściły. Rzędy pomieszczeń po obu stronach z początku wydały mi się puste i zdziwiłem się, że zadajemy sobie tyle trudu, by je otwierać. Jednak gdy wszedłem w korytarz zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. W celach było tłoczno.

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co widzę. Jakieś dziwaczne wielorękie, wielonogie potwory? Związanych razem jeńców? Dziwaczny seks grupowy z użyciem masek karnawałowych? Wszystko to trwało praktycznie bez ruchu, wtulone w kąty cel. Czasem widziałem jakieś niewielkie przesunięcie, tyle że nie wiedziałem, co się przesuwa i czemu. Wzdłuż kęgosłupa podnosiły mi się włoski, jakby ktoś mi jeździł zimnym paznokciem po skórze. Czułem, że rodzi się we mnie wrzask; nigdy dotąd nie posądzałem się o histerię, ale to, co widziałem, było tak bardzo wbrew naturze, że nawet nie wiedziałem, co właściwie widzę, wiedziałem tylko, że napawa mnie to nieprzytomnym obrzydzeniem.

Postarałem się zogniskować spojrzenie na grupie, czy czymkolwiek to było, za kratą tuż przy mojej lewej ręce. Po dłuższej chwili udało mi się odróżnić pół ludzkiej twarzy pod czymś, co wyglądało na wielopalczystą żabią łapę, pieszczotliwie masującą policzek. Druga połowa twarzy ginęła pod maszyną jak wyposażenie hi-tech z filmu sf. Od tego widoku oczy bolały, a co gorsze, kiedy lekko przekrzywiłem głowę, znów nie wiedziałem, co widzę. Żabia łapa stała się pękiem przewodów, a kolorowe światełka i drukowane płytki zmieniły się w bukiet ziół i kwiatów, ociekających szlamem. Odwróciłem więc głowę, spojrzałem wzdłuż korytarza, poprzyglądałem się naszym ludziom, otwierającym klatki i wchodzącym tam tak na luzie, jakby niczego dziwnego nie widzieli. Odpocząłem chwileczkę, popatrzyłem na Małpisona, który odwzajemnił mój wzrok ze spokojnym zaciekawieniem, i spojrzałem w głąb celi jeszcze raz.

Spośród kształtów, które mogły być różnokolorowymi kocami, udrapowanymi w tę i w tę, wychylała się twarz z policzkiem zżartym przez raka, spuchniętym do niebываłych rozmiarów; na wystającym spod koca ramieniu po zdrowej stronie twarzy siedziała małpka, ubrana w kolorową kamizelkę. Wyszczrzyła się w moją stronę i chrypliwie zajazgotała, po czym nurknęła pod pierwszą z brzegu brudną szmatę. Z pewnością nie małą widziałem przed chwilą. Teraz bałem się spuścić z oka więźnia choć na sekundę, bo podświadomie byłem pewien, że następnym razem zobaczę znowu coś innego i że tego nowego obrazu mój mózg po prostu nie wytrzyma.



Wpatrzony w zrakowaciały policzek, aż zaczęły mnie szczypać oczy, którym nie pozwalałem mrugnąć, po omacku wyciągnąłem rękę w stronę Małpizona i wygrzebałem mu z dłoni klucz. Nie, nie było w tym cudów, Małpizon po prostu jest inteligentny i domyślił się, czego od niego chce.

Otwarłem drzwi, wszedłem ostrożnie, wpatrując się cały czas w otulony szmatami kształt i wtedy się potknąłem. Zdażyłem pomyśleć: „przekłeta małpa” i już leciałem. Lecąc przed siebie, wyciągnąłem ręce i oparłem się o coś, co ustąpiło z młaiściem.

To nie był koc.

Wrzeszczałem, wyciągając ręce z czegoś, co było otwartą, zaropiałą raną - ale istniała ona w oderwaniu od jakiegokolwiek ciała. Po prostu była, udawała koc na ciełe „więźnia”, ale nie była jego raną, „towarzyszka”, takie określenie przyszło mi na myśl, ale towarzyszka czego? Kogo? Kręciłem głową, nie mogąc zrozumieć, co widzę, wtedy nawet nie nasunęło mi się na myśl pytanie, dlaczego to widzę, po prostu rozpaczliwie starałem się znaleźć sens w tym, co komunikowały mi zmysły, to było jak błąkanie się w wirtualnym świecie zrobionym z testów Rorschacha, ale ściągnąłem tę „ranę” z więźnia tak właśnie, jakby była kocem, i wtedy mnie ugryzła. Wrzasnąłem znowu, próbując strząsnąć z ręki ten zaropiały kształt, który teraz wyglądał bardziej jak wilcza skóra, którą dawniej kładziono przed kominkiem, takie coś płaskie z wypchanym łbem, i właśnie ten wypchany łeb trzymał mocno w zębach moją rękę. Działo się to tak szybko, że Małpizon zdażył dopiero teraz do mnie przyskoczyć, chociaż byłem pewien, że skoczył już przy moim pierwszym wrzasku.

Jedno mocne uderzenie Małpizona i kształt sflaczał, mój kumpel związał go w trąbkę tak, jakby to ćwiczył codziennie przed śniadaniem.

- Co to jest, u diabła? - zapytałem zdziwiony.

- Takie specjalne łańcuchy - wyjaśnił. - Wszyscy tutaj je noszą.

Pamiętałem, co widziałem, ale ta rzecz w rękach Małpizona rzeczywiście wyglądała już inaczej. Naszpikowany techniką kaftan bezpieczeństwa? Co tu się działo?

Rozejrzałem się jeszcze raz i zaraz tego pożałowałem. Człowiek z rakiem skorzystał z okazji, by znowu się przepoczwarzyć. Spoglądało na mnie kilka par oczu w różnych kształtach i kolorach. Potrząsnąłem głową i przynajmniej jedna z wpatrujących się we mnie twarzy wydała mi się znajoma. Ale przecież to nie mógł być Jussuf ben Jakim, przywódca mniejszości muzułmańskiej w środowisku naszej mniejszości afrykańskiej (tak zwykle nazywały go media) w moim mieście? A jednak ta wygolona czaszka nad kręconą krótką brodą i niebieskie oczy były mi doskonale znajome.

- Jussuf? - zapytałem ze zdziwieniem.

- Jaki Jussuf? - zapytał mnie Małpizon. Odruchowo spojrzałem w jego stronę, a gdy spojrzałem znowu w stronę Jussufa, mrugnęły na mnie oczy na gigantycznym, trzymetrowym ogonie pawia, ale jakże żałośnie wyglądał ten ogon, unurzany w czymś ciemnym, czerwonej mazi, o którą wolałem nie pytać. Miałem kompletnie dość tego czegoś, czułem się naćpany, na kiepskim tripie. Powinienem zrobić jeszcze krok do przodu i chwycić mocno to coś, co zmieniało się z chwili na chwilę, ale ogarnęło mnie takie zniechęcenie, że byłem gotów płakać. To wszystko, co się działo, paliło mi końcówki nerwów jak kwas. Nie myśląc, co robię, po prostu osunąłem się najpierw na kolana, a potem ciężko usiadłem, a raczej osunąłem się na bok. Poczułem na ramieniu rękę, Małpizon coś do mnie wrzeszczał, ale nie byłem się w stanie skupić, a raczej byłem zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na wrzaski Małpizona. Pawi ogon mrugnął na mnie jeszcze raz, zwinął się, zmienił w połyskującego oczami na łuskach węża, w jego splotach malutki jak lalka siedział Jussuf. Potrząsnąłem głową, bo wydawało mi się, że Jussuf jest znacznie dalej niż ściana celi, zatem nie może znajdować się w środku tych lśniących splotów, ale nie udawało mi się zogniskować na nim spojrzenia. Od węża oddzieliło się coś, fruująca płachta, która opadła na podłogę i zaczęła się czołgać w moją stronę, a wąż spuścił głowę i zaatakował z sykiem. Paszcza rosła mi w oczach, ale było mi wszystko jedno.

Poczułem mocny uchwyt na plecach, Małpizon ciągnął mnie do tyłu, zawzięcie, jak terier szczura. Łeb węża eksplodował w zamęcie podartych skrawków papieru, machinalnie podniosłem do oczu ten, który mi opadł na kolana. „Konstytucja”, głosiły wersaliki. Widziałem, że pełznący koc metamorfuje się, ale byłem zbyt zajęty czytaniem drobnych liter pod „Konstytucją”, by mu się przyglądać. Małpizon pochylał się nade mną i o coś mnie błagał. Nie miałem głowy, by go słuchać, chciałem wiedzieć, co było napisane, jaka to „Konstytucja” rozpadała się w kawałki na moich oczach. Wreszcie, bardziej by się pozbyć Małpizona, niż by go wysłuchać, by surowo go doprowadzić do porządku, no bo przecież kto to widział, takie histeryczne zachowanie u żołnierza to prawdziwy wstyd, podniosłem wzrok. Twarz Małpizona zwiąsała nad moją, w oczach miał lęk. Za jego ramieniem powoli podnosił się otulony w fałdy kształt, jakaś karykatura

człowieka, trójwymiarówka skrzydlatego archaniola o popsutych proporcjach i kiepsko zrenderowana (nie wiedziałem czemu właśnie teraz miałem grać w jakąś idiotyczną grę komputerową, pamiętałem, że to chyba Małpison mnie do tego namówił) i już miałem mu powiedzieć, jak bardzo jestem niezadowolony z jego pomysłu spędzenia wolnego wieczoru w taki kretyński sposób, gdy tamto coś rozwinęło mięsiste, czerwone skrzydła, ukazując bardzo duże i bardzo ostre pazury, i te pazury wpiły się w twarz i szyję Małpizona. Krzyknąłem, bardziej ze zdziwienia niż z lęku, Małpison też krzyknął, bardzo głośno, chociaż nie miałem pojęcia, jak może krzyżeć z czymś takim w gardle, z tymi wszystkimi sztyletami, chociaż nie wiedziałem, skąd one tam się wzięły, i zacząłem się podnosić. Ktoś krzyknął: „Padnij”, nie słuchałem, ale byłem tak powolny, że jaskrawe promienie laserów strzelające nad moją głową nie wyrządziły mi krzywdy. Coś zapłonęło jak papier, Małpison upadł i wreszcie odzyskałem możliwość logicznego myślenia. Rzuciłem się na Małpizona, rozrywając w biegu polowy opatrunek. Za chwilę Małpison był tak dobrze obandażowany, jak to było tylko możliwe, leżał na noszach, a ja truchtałem obok niego, unoszonego przez jakichś dwóch naszych kumpli, którym nawet się nie przyjrzałem.

Lot był krótki i już po kwadransie mogłem zacząć szyć te wszystkie rany. Podłączyłem Małpizona do kroplówki pod uważnym spojrzeniem asystującego mi Mikkelsona, upewniłem się, że wszystko zostało zrobione jak należy i uznałem, że mogę wreszcie zająć się palącym mnie tematem.

- Trzymasz ich na prochach? - wrzasnąłem do Michaela. - Nas? - poprawiłem się, wliczając i siebie do grona „widzących inaczej”. Miałem ochotę przyłożyć mu trzymanym w rękę zapasowym stojakiem do kroplówek, ale mógł być mi potrzebny. Odstawiłem go i pomachałem pięścią w jego kierunku.

- Dodajesz coś do jedzenia, ty gnido?

- Przestań - wymamrotał ktoś słabo. Po chwili zorientowałem się, że to Małpison. Schyliłem się nad nim. Dłoń podniosła się znad koca i wolno zawachlowała.

- Po prostu jeszcze jesteś nieprzyzwyczajony - wychrypiął zza bandaży.

Pochylony nad Małpisonem, zmierzyłem ponurym wzrokiem Michaela.

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Odstawiłem stojak i uporządkowałem stolik przy łóżku. Ręce mi jeszcze drżały, upuściłem zużyta strzykawkę i schyliłem się po nią. Wturlała się pod łóżko, więc przykleknąłem i po nią sięgnąłem. Niespodziewanie dla siebie zacząłem płakać.

- To moja wina - wymamrotałem do podłogi. - Widziałem tamto coś, ale to zlekceważyłem. To moja wina.

Wytarłem nos o rękaw i spędziłem chwilę przytulony twarzą do podłogi. Była przyjemnie chłodna. Gdy wylazłem spod łóżka, Małpison znów przywoływał mnie dłonią. Czoło miał zmarszczone. Z obawy, że to skurcz bólu, przeczołgałem się na kolanach bliżej.

- Nie rozśmieszaj mnie - wychrypiął - bo to boli. Ty durniu, to przecież ja miałem ciebie pilnować, a nie odwrotnie. Widziałem ten głupi wyraz na twojej twarzy odpowiednio wcześniej, po prostu zlekceważyłem sprawę. A ty nie miałeś bronii.

Przez chwilę spoglądał w sufit, wyraźnie walcząc o odzyskanie powagi.

- Idź do Michaela, niech ci to wytłumaczy, a potem wróć.

- Nie zostawię cię samego - powiedziałem tak surowo i zdecydowanie, jak tylko mogłem w tych warunkach.

Czułem, że się znów ośmieszam, ale mokry nie może przecież już więcej zmoknąć. Sterczałem więc tak, nie wiedząc, co zrobić ze sobą, gdy weszła Sara, jak na zawołanie.

- Zostawisz mnie w dobrych rękach, prawda, pani doktor? Uśmiechnęła się.

- Po prostu tu sobie posiedzę, a pacjent poczeka, nie jest w formie do ucieczek. Bądź łaskaw poszukać siebie gdzie indziej.

Nic z tego nie rozumiałem, stałem jak słup, tyle że chwiejny.

- Przestań się kiwać nad łóżkiem, nie jesteś przed Ścianą Płaczu. - Sara potrafiła być dokuczliwa. - Na pewno nie umrze zanim wrócisz.

Poszedłem.

Nie musiałem iść daleko. Mikkelson zamaszystym krokiem przemierzał korytarz, wyraźnie czekając, aż się pokażę. Jak tylko zamknąłem za sobą drzwi, chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą. Ledwie za nim nadażałem, ale nie udawało mi się strząsnąć jego dłoni. Wciąż byłem wściekły, a teraz, gdy udawał mi, że jest silniejszy ode mnie - jeszcze bardziej. Gdy zbierałem się w sobie, by mu przyłożyć, dotarliśmy do Garud.

- Patrz! - szarpnął mną, aż zęby mi zadzwoniły. Spojrzałem.

To nie był samolot ani rakieta. Nad nami pochylał się ogromny złoty dziób, a mądre, ciemne, ludzkie oczy patrzyły na nas z ciekawością. Może nawet z uśmiechem. Ogarnął nas wir ciepłego powietrza i nagle lecieliśmy - chociaż Garuda zniknął. I Michael też zniknął.

Leciałem sam, sam jak palec wobec ogromnego, pokrytego gwiazdami nieba i zmalełej nagle Ziemi, dziwnie kolistym ruchem ulatującej gdzieś w tył.

I nagle znowu byliśmy we trójkę - unoszący się nad nami Garuda, Michael, przypominający zawieszoną w powietrzu pochodnię o ludzkich kształtach, i ja, a wokół nas wznosił się dziwaczny ni to zamek, ni to rząd skał. Pamiętałem je. A jednocześnie te skały nie były niczym innym niż pomniejszonym obrazem miasta, które tak dobrze znałem. Pod moimi stopami, maleńki jak zabawka, stał model mojego domu.

A jednocześnie to był mój dom, tyle że oddalony ode mnie, a może to ja stałem się taki duży?

- Gdzie my jesteśmy? - zapytałem, chociaż najpierw chciałem zapytać go o wiele innych rzeczy, na przykład, jak to zrobił.

- Odkryłeś właśnie, że czas ma tak samo trzy wymiary jak przestrzeń - odpowiedział mi Michael.

- A co to ma do rzeczy? - Znów się zdenerwowałem. Ten facet grał mi na nerwach, a może na emocjach, lepiej niż nauczyciel Carlosa Castanedy.

- Widzisz świat z pewnej odległości czasowej, powiedzmy, „z głębi czasu”. I nie ma to nic do rzeczy z liczbą godzin czy lat. Inna perspektywa, rozumiesz? Czas ma swoje płaszczyzny, wzniesienia, odległości, tak samo jak przestrzeń, odszedłeś w bok od swojej „linii czasu”, wąskiej autostrady, którą pędzi Ziemia, Układ Słoneczny, gwiazdy, wszechświat. Ale to tylko jedna z wielu autostrad w nieskończonym, bogatym świecie trójwymiarowego czasu...

Byłem bardzo wystraszony. Głębia czasu. Wysokość czasu. Szerokość czasu. Wierzyłem mu. Nie wierzyłem mu. Nie wiedziałem, w co wierzyć. Wolałem myśleć, że to oszustwo. Nie mogłem.

Ruszyliśmy znowu trasą, którą już znałem, tyle że tym razem skały były jednocześnie budynkami miasta, a wąż stał się lotem w dół, w dół czasu. Winda już nie była windą, lecz stojącą w miejscu, zamrożoną w czasie trąbą powietrzną.

- Czarna dziura - wyjaśnił.

Spojrzałem na niego, niepewny, czy dobrze słyszę.

- Moglibyśmy dotrzeć inną drogą, ale to dobry skrót.

- Ja to widzę jak windę - powiedziałem. Wysiedliśmy, wiódł mnie tą samą drogą.

- Bo spełnia funkcje windy. - Uśmiechnął się. - Twój mózg musi to jakoś interpretować, wybiera najbardziej odpowiednie wyobrażenie.

- Więc co zaatakowało Małpizona?

- Pokażę ci - odpowiedział i zrobił to.

Rosnąc, rozepchnął wąski korytarz w górę i na boki, a ja cofnąłem się, jakbym nadepnął na jeża. Nie było już korytarza, nie było też Michaela Mikkelsona, nie było nawet lśniącego światła jak pochodnia o kształtach człowieka, którą przelotnie widziałem w czasie lotu. Tamte kształty były zrozumiałe. Teraz nie wiedziałem, co właściwie widzę. Michael był pełen oczu. Był też pełen ust, miał tysiące rąk, a jego głos był głosem wielu ludzi, jak szum wielu wód. Był Strażnikiem Prawa, był Obrońcą, był Zastępem Obrońców, był ich tworem i ich stwórcą, był zgodą grupy na przestrzeganie ustalonych reguł i był strażnikiem tych reguł, a przede wszystkim strzegł Ducha Prawa, tego czegoś, co istnieje w Kodeksie Hammurabiego, Deklaracji Praw Człowieka i w Dziesięciu Przykazaniach. Był również strażnikiem tych praw, których jeszcze nie zastosowaliśmy ani nie wymyśliliśmy, lecz kiedyś się ich nauczymy. Był Sprawiedliwością, która pilnuje Miłosierdzia. Był prawą ręką Króla, którego obrazu mój umysł już nie był w stanie objąć.

Z tym wszystkim wyglądał dostojnie ale i przerażająco, jak zlewające się na krzyż wody, niosące niezliczone odbicia istnień.

Nie padłem na kolana. Po prostu pozwoliłem, by zrozumienie znalazło sobie drogę do mojego umysłu. To, co we mnie pilnuje reguł, to, co z braku lepszego określenia nazywam „wewnętrznym poczuciem właściwości postępowania”, od razu rozpoznało swego zwierzchnika. Jedna z par rąk i jedna z par oczu Obrońcy należała do mnie. A raczej ja należałem do niego, miałem należeć lub musiałem należeć - w zależności od tego czy moją chęć przyłączenia się można nazwać wolną wolą, czy też przymusem spowodowanym wbudowanym sterownikiem emocji.

Mógłbym mu się tak przyglądać godzinami, gdyby nie otoczenie, które wydało mi się równie niepojęte. Ciągące się w nieskończoność łąki, lasy, góry wznoszące się to tu, to tam, gdzie właściwie trafiliśmy? Co to za miejsce bez horyzontu? Kraina elfów?

Michael roześmiał się i jego nieskończone odbicia złożyły się jak wachlarz. Znow wyglądał jak człowiek.

- Możesz powiedzieć, że jesteśmy w miejscu określonym przez „Czas, dwa czasy i pół czasu” - powiedział i dodał: - Na Ziemi możesz przecież podać, gdzie jesteś, używając szerokości i długości geograficznej oraz wysokości, na jakiej się znajdujesz, prawda?

- Jesteśmy w czasie? - zapytał niedowierzająco.

- Nie, jesteśmy w uniwersum sześciowymiarowym. Trzy wymiary przestrzeni, trzy wymiary czasu, wystarczy, by zobaczyć archetypy.

Chciałem zadać następne pytanie, ale pokręcił głową i wskazał palcem. Odwróciłem się, a świat wokół mnie drgnął i zwinął się, jak staroświecka kurtyna teatralna.

Znow staliśmy w korytarzu aresztu i patrzyłem na Jussufa. Michael popchnął mnie lekko, zrobiłem dwa kroki, wyciągnąłem rękę i dotknąłem pierwszego nakrycia. Drgnęło pod moją ręką i okrwawiło mnie swą raną - raną odrzucenia. Lecz ja nie oderwałem ręki ze wstrętem, przecież jestem lekarzem. Wiedziałem, jak leczyć rany, i moja wiedza w sposób, którego jeszcze nie rozumiem, zagoiła tę ranę. Żywy, pulsujący koc spełził z Jussufa. Jussuf wciągnął powietrze ze świstem i przymknął oczy. Drugie nakrycie chroniło małpę. Robiła miny, kłapała zębami i nie dawała się złapać. Obejmowała Jussufa kurczowo za szyję, szarpała go za brodę i nie wiedziałem, co z nią zrobić. Obejrzałem się na Michaela. Pokręcił głową.

Nie chciał mi pomóc, to nie. Zabrałem się więc za koc. Był pełen zużytych strzykawek i pustych plastikowych torebek. Jussuf nie był narkomanem, wiedziałem o tym. Ale skąd te strzykawki? Nałóg? Nadal nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić, szarpnąłem więc za następną warstwę. Małpa się rozjzgotowała, miękka jak gruby, mokry papier tkanina zaczęła mi puchnąć w rękę. Ciągnąc ją, zrobiłem krok do tyłu.

Jak rodzące się dziecko, głową do przodu spośród fałd nakrywających Jussufa po brodę, wynurzał się krwawoczerwony mężczyzna. Skórę miał połyskliwą jak lustro, odbijały się w niej oczy i usta. Rozwinął skrzydła z pawich piór, uniósł z dumą głowę i zapytał:

- Czemuż to Księżę Prawa zabiera mi moich ludzi?

- Twoi ludzie należą do Króla, bez względu na to, co o tym myślisz.

- Zabrano im ich prawa, podarto je na ich oczach! - wrzasnął ze złością Czerwony.

- Dlatego uznałeś, że wolno je łamać także i tobie? - zimno zapytał Michael.

Stanąłem sobie skromnie z boku, pewien, że „nie należy się wtrącać do spraw Czarodziejów”, jak to ładnie określił nieśmiertelny Tolkien. Jussuf zgramolił się z pryczy i przysiadł na piętach obok mnie.

- Zwykle nie wtrącasz się w takie drobne historie - zjadliwie powiedział Czerwony.

- Robię, co do mnie należy - odrzekł Michael. - Powrót Króla jest blisko, to co nazywasz „dużymi sprawami”, zostało już załatwione. Teraz twoja historia jest ważną sprawą.

- Król wraca? - ożywił się Czerwony.

- A jak myślisz, dla kogo szkolę tę armię?

Sądziłem, że się dogadują, ale bardzo się pomyliłem.

- Nie oddam nikomu swoich ludzi - powiedział zdecydowanie Czerwony.

- Nie należą do ciebie - odparował Michael.

Czerwony uniósł dłoń i kula ognia wybuchła przed twarzą Michaela. Ten pstryknął palcami i ogień zgasł.

- Wieczny buntownik, co? - powiedział z uśmiechem.

- Król jest po mojej stronie - powiedział Czerwony. - Buntują się pokrzywdzeni.

- Mam się do niego odwołać?

Czerwony pokręcił głową.

- Rozstrzygnijmy ten spór tu i teraz.

- Co zrobi przegrany?

- Odda swoich ludzi.

Michael potrząsnął głową.

- Mówiłem ci już, że nie masz swoich ludzi. Ani ja.

- Nieprawda! - wrzasnął Czerwony i zapłonął gniewem. Zapłonął dosłownie. Cała cela wypełniła się ogniem. Chwyciłem Jussufa za ramię i pociągnąłem w kąt. Nagły trzask i białe światło eksplodowało w środku czerwonego piekła. Ogień przygasł, białe światło trwało nadal. Widziałem dwie armie ścierające się ze sobą, ubranych na czerwono i ubranych na biało, białych było znacznie więcej, okrążyli czerwonych i spychali ich gdzieś w dół. Czerwoni podnosili ręce, poddawali się jeden po drugim. Został tylko jeden. Klęczał w środku osmalonej celi. Michael wynurzył się z nicości i stanął przed swoim przeciwnikiem. Czerwony podniósł twarz i zapytał:

- Zabijesz mnie? Proszę...

- Nie - odpowiedział Michael - śmierć nie należy do mnie.

- Zatem co zrobisz?

- Nic. Buntownicy widać też są potrzebni.

Czerwony zwiesił głowę. Powoli, niespiesznie, przezroczyście i zniknął.

- Co to znaczy? - zapytał. - Czy niszczy bunt? Istotę buntu?

- Ależ nie - odpowiedział. - Trochę pomagamy sprawom toczyć się właściwym trybem. To tylko grupa Jussufa straciła na ważności. Istota tej grupy straciła na ważności. Nikt już nie chce walczyć z powodów, które założyły i podtrzymywały tę grupę. Anioł - archetyp zrodzony przez tę konkretną grupę umysłów, stał się niepotrzebny. Jego wyznawcy odeszli, przystąpili do innych grup - a raczej ojedną w najbliższym czasie, jeśli chcesz stosować ziemską miarę.

- Więc umrze?

- Prawdopodobnie znajdzie sobie innych wyznawców, grupę, której cele i sposób widzenia świata przywołają akurat tego anioła. Być może dla ciebie będzie to niepojęte, ale anioł grupy afrykańskich mahometan może pojawić się znowu jako anioł grupy Ku Klux Klanu. Jemu jest wszystko jedno, kto go wyznaje, byleby była to mniejszość nienawidząca wszystkich innych.

- Jest po prostu opiekunem rasistów?

- Miał pilnować tradycji, ale jego wyznawcy poszli znacznie dalej. A on ewoluował wraz z ich poglądami. Ale jest dla niego nadzieja. Kiedyś znowu będzie opiekunem tradycji. Sam nie lubi tego, czym się stał.

- Nie zauważyłem.

- Prosił o śmierć, pamiętasz?

Kiwnąłem głową. Diabeł okazał się nie taki straszny. No właśnie, przypomniałem sobie pytanie, które miałem zadać:

- Więc istnieje anioł buntu?

- Istota buntu jako takiego to znacznie, znacznie więcej niż duch grupy Jussufa. Na takie ważne bitwy nie mamy wystarczających sił. Szkolimy się na razie pokonując słabych przeciwników. Szukamy nowych żołnierzy. Robimy zaciąg. Kiedyś, niedługo, będziemy mieli więcej ludzi niż wszyscy nasi przeciwnicy razem wzięci. Wtedy będziemy gotowi na powrót Króla.

- My, to kto? - chciałem wiedzieć.

- Wojska Niebieskie, mały - odpowiedział i uśmiechnął się łobuzersko. - Uzupełniam ich liczbę. Parę osób tu, parę tam, aż przeciągnie się na swoją stronę wszystkich niezdecydowanych.

Dwa tygodnie ciężkiej roboty później dostałem parę dni urlopu.

Patrzyłem na rozświetlone witryny sklepów, na kolorowe światełka, śpieszące się tłumy odświętnie uśmiechających się ludzi z naręczami paczek, na cały ten przedświąteczny kram, przysypany jak kolorowym cukrem wiszącymi wszędzie bombkami choinkowymi.

Zatrzymałem się na rogu Main i First Ave, rozglądając się bez pośpiechu i napawając atmosferą. Nie widziałem niczego, co miałoby więcej niż trzy wymiary, a czas był po prostu świąteczny. Byłem na przepustce. Miałem wolne. W gwar wielojęzycznego tłumu, zagłuszając dźwięki ulicy, wdarł się nowy odgłos. Spojrzałem w bok. Ulicą nadchodził facet z Armii Zbawienia, przebrany za Świętego Mikołaja. To on machał dzwonkiem i wołał żałośnie:

- *Poor have no Christmas! Poor have no Christmas!*

Biedni nie mają Świąt!

Wrzuciłem wszystkie drobne, jakie miałem, do jego puszek i uśmiechnąłem się. Uświadomiłem sobie właśnie, że ja też jestem, w pewnym sensie, żołnierzem Armii Zbawienia.

**Ewa Misztal**